



BookEdit

# Smocza żona

Ula Gudel



Ula Gudel

# SMOCZA ŻONA



**BookEdit**

Copyright © Ula Gudel, 2025

Projekt okładki: Szymon Wieczorek, Racim Bey

Ilustracje na okładce: © Racim Bey

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-99-4

Wydawca

**BookEdit**

tel. 512 087 075

e-mail: [redakcja@bookedit.pl](mailto:redakcja@bookedit.pl)

[www.bookedit.pl](http://www.bookedit.pl)

[facebook.pl/BookEditpl](https://facebook.pl/BookEditpl)

[instagram.com/bookedit.pl](https://instagram.com/bookedit.pl)

## PROLOG

Czy możecie opowiedzieć o czasach, kiedy świat był młody? – prosiła Layla. – Mój lud tak niewiele o tym słyszał... – Niewiasta siedziała na skraju Źródła, lecz wydawała się opóźnić chwilę, kiedy znowu w nie spojrzy.

Żagiew uradowało jej życzenie. Jak każde długowieczne stworzenie nie mógł oprzeć się gawędom o przeszłości. Zwłaszcza tej wypełnionej chwałą jego gatunku.

– Bo i skąd mają czerpać tę wiedzę? – Uśmiechnął się wyrozumiale. – Ludzie pojawili się na Kontynentach całkiem niedawno... – Przymknął oczy, ogromnymi nozdrzami wciągnął ze świstem powietrze, gotowy rozpocząć historię.

– Smoki wszakże to jedyne stworzenia, które mają jako taką wiedzę na ten temat! – wyrwał się tymczasem jego przyglupi brat.

Żagiew zazgrzytał zębiskami z irytacji.

– Jako taką! Mój drogi, nie ma na tym świecie nikogo, kto sięgałby równie daleko pamięcią.

– Poza Żywiolami – odciął się Wybłysk.

– Tak... – niechętnie potwierdził drugi smok. – Na początku były właśnie Żywioly... Wyłoniły się z chaosu, odwiecznej mieszaniny światła i ciemności. Nie mają materialnej postaci, a ich moc jest niewyczerpana. Są końcem i początkiem. Potrafią zarówno tchnąć życie, jak też je odebrać według własnego kaprysu. Nikt nie umie przewidzieć ich woli ani skali działania, choć wielu poświęciło wieki na ich zrozumienie. Za ich sprawą powstały ziemia, po której można było stąpać, woda, która przynosiła orzeźwienie, ogień, który wzniecał ciepło, wiatr, który łączył je wszystkie... Potem ukazały się słońce, księżyc, wspaniałe góry, morza,

lasy... – Smok zamrugał powiekami, aby odgonić wzruszenie, które ogarnęło go nagle na to odległe wspomnienie.

– I wy byliście tego świadkami?

– A jakże! – potwierdził z entuzjazmem Wybłysk. – Piękne to były czasy! My, Pierworodni...

– Smoki zrodziły się z pierwszych iskier życia zaproszonych przez Żywioły – podjął Żagiew, znów rozeźlony, że brat wtrąca się w jego poetyckie bajania. – Byliśmy ich pierwszymi dziećmi. Podzielili się z nami nie tylko światem, który stworzyli, lecz także samą mocą kreacji.

– Co natchnęło nas, żeby zasiedlić ziemię mieszkańcami! – dorzucił ponownie jego bliźniak.

Żagiew mlasnął z niezadowoleniem. Kiedy ta głupia narodził nauczyciela się trzymać jęzor za zębiskami!

– I wtedy pojawiły się elfy, prawda? – Layla była doprawdy wspaniałą słuchaczką. Zawsze we właściwy sposób potrafiła sprowadzić opowieść na odpowiednie tory, pomimo wybryków tego tłuka.

– Tak – potwierdził Żagiew. – Ze światła, wody, ziemi i wiatru uformowaliśmy elfy.

– Nie dziw, że są tak piękne, mądre i silne. – Layla pokiwała głową.

– Elfy dały nam wiele radości. Pokochały ten świat na równi z nami, nauczyliśmy je współpracować z Żywiołami, sprezentowaliśmy im także Dary, dzięki którym mogły łączyć się z naszymi stworzycielami. Zdumiewająco szybko podchwyciły nasze wskazówki, lecz nie tylko... Wymyśliły muzykę i wypełniły świat pięknymi dźwiękami, które umiły nam czas. Wybudowały wspaniałe miasta, gdzie kwitła sztuka, rękodzieło. Zachęceni tak dobrym rezultatem naszych działań, oddaliśmy się dalszemu tworzeniu. Przyszła kolej na zwierzęta, które zasiedliły przestworza, głębiny i knieje. Elfy pokochały nasze pozostałe dzieci na równi z nami i otoczyły je szacunkiem i opieką... – Żagiew poczuł, jak wzruszenie

ściska mu gardło na wspomnienie czasów tak dawnych, że nawet jemu wydawały się legendą.

– A ludzie? – Pytanie niewiasty wyrwało go z zadumy.

– Cóż, ludzie mieli innych stwórców...

– Bogowie – westchnęła i pochyliła się nad taflą Źródła.

– Tak, bogowie... – wymamrotał smok i z niepokojem spojrzął na swego bliźniaka, by upewnić się, że ten nie wypapla tego, czego nie wolno im było wyjawiać śmiertelnym.

Ci, których nazywano na Kontynentach bogami, smoki znały pod innym mianem. Tytani. Nowe byty, które zrodziły się z Żywiołów. Nikt nie wie dokładnie, kiedy i gdzie się pojawiły, ani jak długo obserwowały poczynania Pierworodnych, zanim się ujawniły. Dość rzec, iż rozprze-strzeńczyły się po świecie gotowe zasiedlić go własnymi stworzeniami. Na początku ich próby kończyły się niepowodzeniem, gdyż, jak to zwykle bywa w przypadku naśladowców, wzorowali się jedynie na zewnętrznych efektach pracy smoków. Nie rozumieli zasad kreacji, proporcji, w których należy mieszać żywioły, ani roztropności, jakiej to wymaga. Poczynali sobie zbyt śmiało i tak powstały istoty potężne, lecz bezrozumne – cyklopi, trolle, kamienni giganci... Dopiero wtedy przyszedł po radę do Pierworodnych, a ci udzielili im wskazówek w dobrej wierze, nie chcąc narażać swego pięknego świata na obecność kolejnych szkarad. Ambicją tytanów było stworzyć ludy podobne elfom, równie piękne i silne...

Pomimo upływu tysięcy lat Żagiew nie mógł uwierzyć, iż jego prze-mądry gatunek mógł zostać tak wyprowadzony w pole. Bowiem tytani ukryli przed nim swoje prawdziwe zamiary.

Smoki czerpały radość z samej kreacji i obserwowania, jak ich dzieci wzrastały i odkrywały świat. Jednakże tytani mieli w sobie zbyt wiele ognia. Pożądali władzy. Tworzyli po to, by wzmacniać jedynie swoją własną potęgę, rywalizować między sobą o przodownictwo. I taką samą ambicję zaszczepili istotom, którym dali początek. Krasnoludom, które

wprawdzie okazały się niezwykle silne i wytrzymałe, lecz nie mogą równać się z elfami urodą i długowiecznością... Nimfom, które są piękne, lecz równocześnie płocze i słabe... Obie rasy okazywały oddanie swoim rodzicielom, lecz nie mogły spełnić ich planów podboju świata. I właśnie wtedy, po wielu próbach, tytani stworzyli ludzi.

– Czy bogowie wzorowali się na elfach, kiedy powoływali nas do życia?

– Nie, moja droga – odparł Żagiew. – Wykreowali was na swój obraz i podobieństwo.



## ROZDZIAŁ I

# Komu w drogę, temu podarunki

**N**ic nie może równać się z potęgą armii Ha'ami, myślał król Ha'attik, obserwując przemarsz swoich oddziałów.

Długie włócznie unosiły się i opadały w rytm ciężkich kroków wojowników. Ciemne hełmy stapały się w bladym świetle poranka, kiedy podążali w stronę wschodzącego słońca. Złote promienie odbijały się na powierzchni wypolerowanych tarcz. Błękitne proporce z emblematami prowincji łopotały na lekkim wietrze.

Byli rasą zwycięzców.

Ich siła od zawsze leżała w jedności.

Plemię jest wszystkim.

Nie ma miejsca na odstępstwa od reguły.

Nie ma miejsca na osobiste słabostki.

Ha'attik wiedział to najlepiej. Sam poświęcił wiele dla chwały swego ludu. I gotowy był oddać jeszcze więcej, by poprowadzić go ku kolejnym zwycięstwom. Miał zamiar zapisać się na kartach historii jako ten, który poszerzył jego posiadanie bardziej niż ktokolwiek wcześniej. Niepokonany w polu. Nieprzejednany w polityce. Tak zaplanował swoją nieśmiertelność.

– *Razem powiedziemy nasz lud ku wiecznej sławie.* – Głos towarzyszył mu teraz w każdej chwili jego życia.

– *Kim jesteś?* – Ha’attik zadał po raz kolejny to pytanie, choć nie spodziewał się odpowiedzi.

– *Myślałam, że do tej pory mnie rozpoznałeś, królu.*

– *Rozpoznałem? Dlaczego po prostu nie wyjawisz mi swego imienia?*

– *Ty pierwszy musisz je wypowiedzieć.*

– *Dlaczego?*

– *Takie jest prawo. W głębi serca już dawno zrozumiałeś, królu... Czujesz moją siłę. Wiesz, dlaczego mnie słyszysz, wiesz, dlaczego ci sprzyjam... A wiesz to, gdyż na tym świecie jest tylko jeden wszechpotężny byt, który pragnie wiecznej chwały naszego ludu.*

– *Ami!* – Ha’attik na chwilę prawie przestał oddychać.

\* \* \*

– Hilde, czy na pewno siedzenie księżniczki jest wygodne? – Jor wściubił nos do powozu. – Ta poduszka wygląda dosyć płasko – oświadczył sceptycznie.

Służka westchnęła z irytacją.

– Nie ucz kury gdakać! Nie masz sam co robić?

– Ja wypełniłem swoje obowiązki. – Młodzieniec się napuszył. – Jedynie, co mi pozostało, to czekać na panią.

– To idź przeszkadzać komuś innemu! – odparła Hilde, popchnęła go na zewnątrz i zatrzasnęła drzwi pojazdu.

Jor stracił równowagę i z impetem upadł w tył, a dwóch stojących obok wojowników zaśmiało się w głos. Zacisnął zęby, zebrał się i wgramolił na kozioł.

Poranek wstawał mglisty i pochmurny, jednakże Jor od dawna już nie był równie rozemocjonowany. Wyruszali do jego ojczyzny. Po przejściach ostatnich dni wciąż trudno było mu w to uwierzyć. Prawie nie spał, tak był przejęty, iż to jednak senna mara, a on obudzi się w kajdanach, w lochu, czekając na egzekucję.

A jednak tak się nie stało. I wszystko dzięki niej.

Ich księżniczka.

Jego księżniczka.

A wkrótce, kiedy dotrą na swoje ziemie, królowa.

To Berennike najpierw poderwała ich do rebelii, sama dała przykład poświęcenia, które gotowa jest ponieść w imię honoru. A potem nie tylko nakłoniła Ha'amich, by ich wypuścili, lecz także zawarła przymierze z przywódcą Kamiennego Gniazda, przypieczone wczorajszymi zaślubinami. Umowa ta zezwalała na ich powrót do domu i, być może, w niedalekiej przyszłości, zagwarantuje pokój między dwoma plemionami.

Jego księżniczka.

Jor doceniał to poświęcenie. Zbratanie się z odwiecznym wrogiem nie mogło przyjść jej łatwo. A jednak to właśnie dla nich uczyniła. Nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy na horyzoncie znajome, czerwone wzgórze i poczuje znów na twarzy ciepłe, wilgotne powietrze, tak różne od tej suchej, długiej zimy, której tu doświadczał przez ostatnie lata.

Z radosnego zadumania wyrwało go przybycie gwardzisty, który miał pełnić obowiązki woźnicy. Ten, kiedy zobaczył siedzącego na kozle Azzgota, wpadł we wściekłość.

– Nie będziesz mi tu swoich pcheł sprzedawał, psie! Zmiataj na tył albo odesłę cię na kopniakach!

– Jestem osobistym doradcą księżniczki! – zaprotestował gwałtownie Jor. Po raz kolejny w życiu żałował, iż jego głos był tak piskliwy, zwłaszcza kiedy się irytował.

Gwardzista trzepnęła go na odlew pięścią w szczękę, aż głowa mu odskoczyła i zadzwoniło w uszach. Musiał złapać się ławy, aby nie spaść.

– Chcesz liczyć zęby na bruku, wszarzu? Nie mam zamiaru powtarzać!

Jor, bezradny wobec tak oczywistego pogwałcenia jego praw, macając ostrożnie dziąsła językiem, zszedł na ziemię i powędrował na tył powozu, do którego przytwierdzona była niewielka ławeczka.

– W dupach się poprzewracało popaprańcom! – Usłyszał, jak wojownik rozmawia z konnymi. – Osobisty doradca księżniczki, jego mać.

– Ten kundel zawsze pęta się przy jej nodze – dorzucił inny gwardzi-  
sta. – Nawet nauczyła go łaźić na dwóch łapach.

– Może dlatego przyśniło mu się, że jest mężem! – Roześmiali się w głos.

Azzgot poczerwieniał ze złości i spuścił głowę. Zagryzł wargi tak mocno, że poczuł krew w ustach. Tak bardzo ich nienawdził...

– Widzę, że wybrałeś dla nas miejsce z najlepszym widokiem, Jorze – usłyszał niespodziewanie.

Księżniczka Berennike wyłoniła się z porannej mgły, odziana w zielonoszary strój do drogi i płaszcz spięty prostą klamrą. Od ich pierwszego spotkania urzekła Jora bezpośrednim, serdecznym obyciem, tak rzadkim w tym ponurym zamczysku. W ostatnich dniach, gdy znowu zaniemogła, martwił się o nią niepomierne, toteż uradował się bardzo, widząc ją rumianą i uśmiechniętą. Sprawiała wrażenie równie podekscytowanej podróżą co on. Z pewnością to właśnie perspektywa odzyskania wolności dodawała jej tej mocy. Prowadziła swego cudownego rumaka, który postępował za nią krok w krok.

Sługa patrzył na księżniczkę jak urzeczoną i już otwierał usta, by powitać ją radośnie, gdy u jej boku zauważył dowódcę i natychmiast spuścił wzrok. Odruch niewolnika wyćwiczony przez lata.

Jor pamiętał tego Ha'ami z dawnego zajścia w stajni, kiedy to ten właśnie mężczyzna przyłapał go na śledzeniu Berennike. Był jednym z ważniejszych panów w twierdzy. Pierwsi Bracia. Tak ich nazywali. Ten wojownik, choć młodszy wiekiem od pozostałych członków Rady, nie ustępował innym okrucieństwem wobec sług. Azzgot nie darował mu ciosów nahajką, które spadły na jego plecy podczas tego pamiętnego wieczoru, tak jak nie wybaczy nigdy żadnej krzywdy, która spotkała go w tym przeklętym miejscu.

– Haśani. – Księżniczka zwróciła się do dowódcy. – Jak mówiłam, Simronil nie musi być uwiązany. Pójdzie obok powozu.

Wojownik patrzył sceptycznie to na nią, to na wierzchowca.

– Jesteś pewna, że go upilnujesz?

– Dopóki wie, że jestem bezpieczna, nie będzie sprawiał kłopotów.

A przecież będzie mnie widział, skoro mam siedzieć na tej ławeczce.

Wzrok mężczyzny powędrował w stronę Jora.

– To nie miejsce dla ciebie, Berennike.

– Tak? A wydawało mi się, iż właśnie usłyszałam od twoich ludzi, że to jest miejsce przeznaczone dla takich jak ja. – Splotła ramiona, usiadła obok chudego sługi i zadyndała nogami w powietrzu. – To jak będzie, Haśani? Może wytłumaczysz współbraciom zasady dalszej podróży?

Dowódca się zmieszał, lecz równie szybko się opanował, a jego twarz przybrała niezwykle uprzejmy wyraz.

– Z największą przyjemnością. – Odszedł i wdał się w rozmowę z gwardzistami na przedzie.

– Jak twoja twarz? – szepnęła księżniczka.

Jor znowu poczerwieniał. Zrozumiał, iż widziała całe haniebnie zajście. Było mu bezbrzeżnie wstyd, iż dał się tak potraktować. Mógł się bardziej postawić...

– To nic takiego, pani... – bąknął cicho i spuścił głowę.

– Pamiętasz, że prosiłam, byś zwracał się do mnie po imieniu?

Jor trwał nieruchomo w pokłonie. Nie ośmieliłby się nigdy na takie zuchwalstwo, nawet jeśli ona nalegała. Pierwszy Brat wrócił po chwili.

– Wszystko ustalone – poinformował dworskim tonem. – Twój... współplemieniec zajmie miejsce na przedzie wozu.

– I każdy Azzgot, który z nami podróżuje zostanie potraktowany z szacunkiem – dopowiedziała księżniczka.

– Oczywiście. Rozkazy wydano. Jeśli ktokolwiek uchybi jeszcze twoim ludziom, nie wahaj się poinformować dowódców.

– O to się nie martw. – Wstała i podeszła w jego stronę. – Czas nam się pożegnać, Ha’sani. Oby twój sprawny rozum pracował dla dobra wspólnego, a los traktował cię wyrozumiale.

Wojownik ujął dłoń dziewczyny i, w geście szacunku swego ludu przyłożył ją do swego policzka, ucałował jej wnętrze.

– Oby twoja ścieżka była odtąd prostsza, Berennike. I pełna równie oddanych druhów co do tej pory.

– Proste ścieżki bywają zdradliwe, jak mawia Zak... Jak wiesz, cenię każdą dobrą duszę, którą los stawia mi na drodze. Ale w obecnej chwili najbardziej cieszyłabym się, gdybym miała mniej ukrytych wrogów.

Krótkowłosy Ha’ami uśmiechnął się przemyślnie. Jora bardzo irytowało, że tak spoufalał się z jego panią.

– Na szczęście, zdaje się, że ci ostatni zdecydowali się obecnie chodzić w jasnym świetle dnia.

– Tak, tak się zdaje... Bywaj, Kluczniku!

– Bywaj, Dzika Księżniczko. – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i odszedł, wkrótce pochłonęły go obłoki porannej mgły.

– Jak nasi? Wszyscy gotowi? – Berennike zwróciła się do Jora, a on z dumą zdał raport ze swoich dobrze spełnionych zadań.

\* \* \*

*Penaria* Ha’tenga tworzyła straż przednią oddziałów Kamiennego Gniazda. Jego zastępca zameldował, że są już w gotowości, Tygrys spiął więc konia i ruszył oświetloną pochodniami ulicą ku głównej bramie. Punktem zbiórki był plac przed Świątynią. Kiedy dojechał na miejsce, ciągle trwał tam rozgardiasz, ładowano ostatnie wozy z zaopatrzeniem, które miały jechać na tyłach. Część ekwipunku wysłano przodem kilka dni wcześniej, aby nie spowalniał marszu. Jako że szli przez puszcę, nie mieli możliwości zatrzymania się w grodach

Ha'ami i uzupełnienia zapasów. Musieli polegać jedynie na sobie. Taki był plan.

Zwykle Ha'teng nie był zwolennikiem podróżowania z takim obciążeniem, lecz tym razem także on musiał przyznać, iż zaszła taka konieczność. Droga, którą obrali, może i omijała większe siedliska, lecz była szybsza, nawet z całym ekwipażem, który ciągnęli. Mieli zamiar stawić się przed wyznaczoną datą zbiórki, gdyż wiedzieli, że królewskie siły także zjawią się przed czasem w Wilczym Leżu, najdalej na wschód położonej twierdzy Ha'ami. A wczesny dostęp do monarszego ucha był kluczowy nie tylko do uzyskania jego aprobaty dla ostatnich poczynań włodarzy Kamiennego Gniazda, lecz także, być może, dla zachowania ich głów. Porozumienie z krasnoludami i rozejm z Berennike mogły być interpretowane zarówno jako akt działania w słusznym interesie plemienia, jak i niesubordynacji. Musieli zatem uzyskać szansę jak najszybszego przedstawienia swoich racji, nim to inni uczestnicy tej gry zdobędą posłuch u króla.

Zniecierpliwiony Ha'teng spiął konia i sam zaczął wydawać rozkazy wozom, które tarasowały jego oddziałom przejście. Przy jednym z nich dostrzegł główne źródło kłopotów. Berennike. Gdyby nie namiętność, na którą zapadł do niej Ha'akon, Namiestnik Kamiennego Gniazda, jego najlepszy przyjaciel, nie mieliby połowy problemów, które się teraz przed nimi piętrzyły.

Przeklęte baby.

Zatrzymał się obok niej, ale nawet nie podniosła wzroku, zajęta głośkaniem swego wierzchowca o jasnej sierści i nieposkromionym obyciu.

– Powinien iść z zaopatrzeniem. Wiesz, że nie będziesz mogła jeździć wierzchem.

Niewzruszona kontynuowała zajęcie.

– Mam potrzebę przebywania z inteligentnymi istotami. A tych tu zawsze niedostatek.

– Widzę, iż nie ufasz nie tylko bystrości naszych umysłów, ale i sprawności naszego oręża... To łaskawie ze strony Ha'akona, że zezwolił ci zatrzymać broń. Na twoim miejscu jednak tak bym się z tym nie obnosił. – Spojrzał na krasnoludzki miecz o zakrzywionym ostrzu, zawieszony przy jej pasku. – Ponad dwa tysiące Ha'ami, którzy z nami wyruszają, mają za punkt honoru cię chronić.

– Gdzież mi się równać nawet z jednym walecznym Ha'amim, a co dopiero z całą hordą. Z taką eskortą nic mi nie straszne, oprócz nudy. – Wreszcie podniosła na niego oczy.

– Rozumiem zatem, że będziesz tym ostrzem piłować paznokcie?

– I kręcić loki. Jak każda przykładowa niewiasta.

– Nie widziałem cię porządnie uczesanej nawet raz, teraz wiem, w czym tkwi problem.

– Wymieniacie uprzejmości? – wtrącił Ha'akon, gdy podjechał na swoim rumaku. Siedziała za nim Temina, która zwinnie zeskoczyła na ziemię, kiedy tylko się zatrzymał.

– Poranna rozgrzewka – potwierdził Tygrys. – Czas na mnie. Do zobaczenia na postoju. – Machnął dłonią, spiął konia i ruszył w stronę swojej *penarii*, ustawionej w równych szeregach.

Dziesięć, dwanaście dni w drodze... A potem... Kto wie, co ich jeszcze czeka.

Strażnik Bezpieczeństwa węszył krwawą jatkę. Zwykle miał dobre przecucie do takich spraw. Poza tym Ha'gard, dowódca, który rościł sobie prawa do ziem Azzgotów, a co za tym idzie, także do Berennike, był niezwykle przewidywalny. Jeśli sprawy nie pójdą po jego myśli, będzie dążył do siłowego rozwiązania. Jedynym pytaniem było, jak postąpi król i czyją przyjmie stronę. Na to jednak, przynajmniej na razie, nie mieli wpływu.

\* \* \*



– My ruszamy następni. – Ha'akon zwrócił się do Eli. – Widziałaś Perin?

Dziewczyna potrząsnęła głową, ale natychmiast się skorygowała i wskazała na cztery postacie, które zmierzały w ich stronę. Dwie wysokie niewiasty, odziane w proste, ciemnoniebieskie, ciepłe suknie do drogi i płaszcze z kapturami. Rozpoznała uzdrowicielkę, a także Dari, matkę młodego wojownika, który zginął z rąk Ha'akiego. Obie udawały się z nimi, by świadczyć przed królem w tej sprawie. Pierwsza Siostra jak zwykle prezentowała się nienagannie, z włosami zaplecionymi w wymyślny warkocz i pogodnym wyrazem twarzy, szeptała o czymś ze swoim synem, który kroczył u jej boku. Strażniczka Zdrowia była uosobieniem opanowania i spokoju. Nie dało się tego powiedzieć o jej towarzysze. Ta wyglądała jak zjawą. Błada tak, że prawie przezroczysta, długie, poprzytykane siwizną włosy miała w nieładzie, szła uczepiona kurczowo ramienia Ha'mina, który podtrzymywał ją z wyrazem troski na poszarzałej twarzy.

– Przed nami bezwietrzny dzień – powiedziała Perin na powitanie swoim miękkim głosem. – Oby Ami pobłogosławiła nas w drodze piękną aurą.

– Oby jej łaska nam nieustannie towarzyszyła – odparł Ha'akon. – Obrzucił pozostałych spojrzeniem, ale nikt więcej się nie odezwał. – Wasz powóz jest gotowy. Bracie... – Skinął głową, a dowódca w lot zrozumiał, że Namiestnik chce z nim porozmawiać. Z wahaniem przekazał drżącą jak trzcina na wietrze Dari w objęcia Teminy.

– Chodź, moja droga, zaraz wygodnie cię ułożymy – oświadczyła zielarka łagodnym tonem, jakby przemawiała do dziecka, po czym odalili się wolnym krokiem.

W międzyczasie dwaj wojownicy wdali się w cichą rozmowę na boku, a Perin wymieniła krótkie pożegnanie z synem i podążyła do pojazdu, który miał być ich domem przez najbliższe tygodnie.

Eli śledziła niewiasty niepewnym wzrokiem. Zastanawiała się, jak pogrążona w żałobie matka zniesie tę podróż i czy jakikolwiek wyrok, który wyda król, zdoła ukoić jej ból.

– Wyjdzie z tego. – Młody *namio* jakby odczytał jej myśli. – Ha!ami wiedzą, że śmierć jest częścią istnienia.

– To nie znaczy, że wszyscy się na nią godzą... – Eli otrząsnęła się z zadumy. – Peri... tak żałuję, że nie możesz nam towarzyszyć!

– I ja nad tym ubolewam, *neru-to*. Twoja nieobecność oznacza wszak powrót do bardzo nudnego żywota w Kamiennym Gnieździe... przynajmniej do czasu inicjacji – ogłosił *namio*.

– Chciałabym ujrzeć twój tryumfalny powrót...

– Naprawdę miałabyś ochotę ponownie zawitać do naszej ponurej fortecy? – Peri obrzucił ją swoim bystrym spojrzeniem. – Myślałem, że kiedy już raz przekroczysz tę bramę, nic nie zdoła przekonać cię do ponownego wjazdu.

– Cóż... Być może uczyni to nieodparta chęć, by znowu utrzyć ci nosa! – Zaśmiała się.

W odpowiedzi otoczył ją szerokimi ramionami i uniósł nad ziemią.

– Wierzę, że przeznaczenie sprawi, że nasze drogi ponownie się zjedną. Mam wobec ciebie dług do spłacenia.

– Nie jesteś mi nic winny, Peri. – Eli czuła, że głos jej się łamie.

– To dla ciebie – powiedział i wcisnął jej w rękę ciepły przedmiot.

Spojrzała na małą statuetkę z czarnego kamienia.

– Co to?

– Wiem, że nie jestem równie sprawnym rzeźbiarzem co twój krasnoludzki przyjaciel... A właśnie... Nie ma ich tutaj?

– Pożegnaliśmy się przy śniadaniu. Zostają kilka dni na zamku jako goście Haśaniego.

– Aha... To i lepiej. Nie wyśmieją mojego dzieła.

– Cóż to jest zatem?

– Nie widzisz?

Zmarszczyła czoło i uważniej przyjrzała się ciemnej bryłce.

– Hm, może lepiej, bym nie uruchamiała swojej wyobraźni, usiłując to odgadnąć...

– To niedźwiedź – westchnął ciężko Peri. – Pamiętasz, kiedyś życzy-  
łaś mi, by moim inicjacyjnym zwierzęciem był niedźwiedź...

– A prawda, misiu jak się patrzy!

– Trochę pokraka, wiem, ale jest zrobiony ze skały, z której wybudowano Kamienne Gniazdo. Używamy takich małych odłamków w drodze, by rozgrzewać się podczas zimnych nocy. Wystarczy włożyć na trochę w ognisko przed zaśnięciem, a potem umieścić w rękawicy albo pod kaftanem. Świetnie trzyma ciepło... więc jeśli walory artystyczne ci nie odpowiadają, zawsze przyda ci się do tego... – Peri wyszczerzył zęby, a jego dziecięca twarz nabrała znowu beztroskiego wyrazu.

– Walory artystyczne tego dzieła są w zupełności na miarę obdarowanej nim osoby! – Eli uściśnęła go ponownie.

Usłyszała, jak *namio* najpierw pociągnął nosem, a potem lekko odchrząknął, po czym odsunął ją delikatnie. Stali teraz przy nich Temina i Ha'akon. Eli schowała niewielki przedmiot do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Bywaj w zdrowiu, *neru-to*. Bywajcie. – Peri szybko skinął głową, odwrócił się i odszedł.

– Mam zamiar wstąpić do Świątyni, by prosić przodków o ochronę na wyprawę. Czy zechcesz mi towarzyszyć? – Namiestnik zwrócił się do siostry.

– Czyż nie odcierpieliśmy już ceremonii z natchnionym śpiewem Sig zaraz po przebudzeniu?

– Tak. – Uśmiechnął się, widząc jej grymas. – Mam jednak potrzebę nieco bardziej prywatnej odprawy.

– Znasz moje przywiązanie do zabobonu, braciszku! – Zielarka ziewnęła szeroko. – Poza tym jestem ostatnią osobą, którą przodkowie zechcieliby otoczyć łaską. Lepiej dla nas wszystkich, by mnie tam nie było.

– Ja z tobą pójdę – zaoferowała Eli.

Ujęła jego ramię, a on skinął głową i zwrócili się w stronę budynku Świątyni. Szybkim krokiem, prawie biegiem, wspięli się po schodach.

Eli radowała się każdą chwilą. Wydawało jej się, iż nigdy nie miała w sobie tyle siły, choć poprzedniej nocy wcale nie zmrużyła oka. I nie tylko przez wzgląd na niespożytą, jak się wydawało, pasję Ha'akona. W przerwach między pieszczotami, kiedy leżała wtulona w jego silne ramiona, zasłuchana w ciemność, powracała myślą, a to do dziwnej istoty, która ją uzdrowiła, a to do snów, w których widziała upiornego dowódcę Ha'ami.

Zanim odjadą, chciała uzgodnić z Ha'akonem jeszcze jedną kwestię i dlatego zaoferowała, by towarzyszyć mu w Świątyni. Nie liczyła, że w długiej drodze trafi im się wiele chwil na osobności.

– Co teraz? – zapytała Eli, kiedy znaleźli się pomiędzy statuami dawno zmarłych Ha'ami. – Przypuszczam, iż macie jakąś standardową formułkę?

– Mamy – potwierdził. – Powtarzaj za mną. – Wyprostował się, jedną dłoń położył na piersi, a drugą na rękojeści miecza, po czym przemówił w starożytnym dialekcie swojej mowy. – Zwracam się do was, szlachetni, gdyż droga przede mną kręta i ukryta we mgle przyszłości. Niech moje oczy będą bystre, bym w porę ujrział podstęp i niegodziwość, moje decyzje pewne, bym prowadził naszych ludzi ku zwycięstwu, a moje ręce silne, bym przełamał opór każdego przeciwnika. Obym przyniósł wam zasłużoną chwałę! Honor, braterstwo i siła!

Eli dopełniła rytuału. Przez krótką chwilę stali w skupieniu, po czym ponownie ujął jej dłoń i ucałował z szacunkiem.

– Dziękuję, że tu ze mną przyszedłeś.

– Ależ oczywiście... – Zawstydziała się lekko swojego prawdziwego zamiaru. – Ha'akonie. Czy myślisz... Czy nie powinniśmy powiedzieć Teminie o Puszczyku?

Po chwili milczenia jej cierpliwość została nagrodzona, ponieważ Namiestnik podjął temat.

– Myślę, że to jedyna osoba, której możemy wyjawić to, co wtedy zaszło. – Zniżył głos do szeptu.

– Chcesz, żebym porozmawiała z nią w drodze?

– Ja mogę nie mieć ku temu sposobności.

– Zgadza się.

– Musimy to jednak utrzymać w sekrecie przed innymi. Nie śmiałybym przewidzieć reakcji Ha'ami, gdyby wydało się, że do naszej twierdzy wdarła się magiczna istota... O tym, że jej celem było twoje uzdrowienie, nawet nie wspominając. Mogliby to potraktować jako czarnoksiężski zamach na nasze plemię.

– A ty? Też tak uważasz?

– Ja? Ja jestem przede wszystkim wdzięczny temu, kto sprawił, iż nie prześladuje cię już ból, który widziałem wcześniej – powiedział i przytulił ją mocno. – Trapi mnie jednak myśl o niebezpieczeństwie, o którym mówił Puszczyc... – dodał.

– Kaz kiedyś mi poradził, że martwić się to jak siedzieć na huśtawce...

– Tak?

– Niby się poruszasz, a jednak nigdzie nie dotrzesz.

Ha'akon uśmiechnął się lekko. Pocałowała go w przyпіływie czułości.

– Cieszymy się tym, na co mamy wpływ. Tego jednego nauczyłam się podczas dni, kiedy leżałam ranna.

– Dobrze, moja księżniczko. – Poglądził ją po włosach ciągle zamysłony. Opuścili Świątynię, trzymając się za ręce.

\* \* \*

Sig odczekała chwilę po tym, jak wrota budynku się zatrzasnęły, a następnie wymknęła się chyłkiem na zewnątrz. Na szczęście, poranek nie

wstał całkiem jeszcze i mogła liczyć, że dzięki jego szarzyźnie uda jej się pozostać niezauważoną. Czym prędzej podreptała w stronę wojowników zgromadzonych do wymarszu, starając się odnaleźć tego jednego brata, z którym musiała podzielić się niewiarygodnymi nowinami, jakie udało jej się właśnie podsłuchać.

Nigdy nie ufała tej obcej, która kalała ich ziemię swoją obecnością. Powinna była szczeznąć dawno temu, na placu przed Świątynią, wybatizona za swojej przewinienia tak, jak na to zasługiwała.

Tak się jednak nie stało.

Od tamtej pory jej jedyny, wierny sprzymierzeniec w sprawie przykazał jej trzymać się na uboczu, gdyż uczestnictwo Sig w nakłonieniu *Ta'umy* do zgłoszenia *Koroi Karn* ściągnęło na nią zbyt wiele wścibskich spojrzeń. Przeto grała swoją rolę i nie kwestionowała decyzji Rady, jednak kiedy tylko nadarzyła się sposobność, starała się uprzykrzyć życie obcej, choćby zwiększając dawkę ziół podczas rytuałów.

Niestety, to było wszystko, co mogła w tej chwili zdziałać. Jej zemsta za znieważenie Alikii wciąż się oddalała, a Sig gorzkniała coraz bardziej, gdy patrzyła na honory, którymi obdarzana jest ta przybłęda...

To, co właśnie usłyszała... To, o czym szeptali Ha'akon i *Ta'uma*, było sekretem, na który warto było czekać. Już podczas seansu przed Rytuałem Przejścia wydawało jej się, że ciało obcej nie nosiło śladów bata, lecz tak Akona, jak i Temina zbyły jej dociekania. Przekonywały ją, że była to część jej halucynacji. A teraz miała potwierdzenie, że w uzdrowienie Berennike zaangażowały się moce nie z tego świata. Ta informacja mogłaby stać się zaczątkiem końca obojga – Namiestnika i księżniczki.

Nareszcie ujrzała sylwetkę swego zaufanego brata. On najlepiej będzie wiedział, co z tym począć...

\* \* \*

Ha'rim tkwił w malignie, która zdawała się nie mieć końca. Pamiętał, że wydobyto go z czeluści kopalni i przetransportowano do krasnoludzkiej faktorii. Usiłował powstać, zerwać się, biec z powrotem, lecz druhowie przyszpili go do łoża, a ostatecznie, by nie musieć nieustannie go pilnować, przywiązali do posłania. Wiedział, że spierzchniętymi ustami nie potrafi wymówić jednego składnego zdania. Tylko pojedyncze słowa wrywały się z jego zachrypniętego gardła. Zbyt krótkie, by być pomocne, by przekazać wiadomość. W końcu niema krasnoludzka szamanka podała mu jakieś zioła, które odesłały go w krainę snu. Nie zaznał tam jednak spoczynku. Te same sceny przewijały się przed oczyma wojownika raz po raz w upiornych majakach. Wracały zawsze do tego samego momentu.

Elf zszedł pertraktować z nimfą, a ona ni stąd, ni zowąd poczęła rzucać jakieś zaklęcie. Ha'rim nie wahał się i w powietrzu zajęczała wypuszczona przez niego strzała. Nie udało mu się dojrzeć, czego dosięgnęła, ale w coś trafiła, gdyż rozpętał się istny chaos. Macki potwora, który czaił się w jeziorze, wystrzeliły ku nim. Krasnolud pociągnął go za sobą i rzucili się w dół, na łeb na szyję, w stronę niewielkiej plaży. Nie wiedział, jakim cudem przeżył to karkołomne zejście po ostrych skałach w ciemności, do tego unikając grubych jak pnie odnóży, które ścigały ich na każdym kroku. Kiedy stanęli u brzegu zbiornika, nagle zapanowała głucha cisza, jakby czas się zatrzymał, a wszystko wokół zastygło. Tafla wody znieruchomiała. Następnym dźwiękiem, który do niego dotarł, był trzask zapalanego łuczywa. Z ulgą ujrzał żarzącą się pochodnię w rękach krasnoluda.

– Trzymaj! – zawołał Yanko. – Idę po niego! – I z falcatą w jednej, a młotem w drugiej ręce popędził przed siebie i dał nura prosto w mroczną głębinę.

Szczęka opadła wojownikowi ze zdumienia, lecz niemal jednocześnie z wody znowu wystrzeliły macki potwora, jedna zamierzyła się

wprost na niego. Instynktownie oprzytomniał i uskoczył. Ujął miecz i ciął prostym brutalnym ruchem z góry. Poczul, jak ostrze przebija łuski i grzęźnie w miękkim ciele. Szarpnął je do siebie w samą porę, gdyż odnoże odwinęło się i cofnęło. Ha'rim zaatakował ponownie, tym razem mierzył wyżej. Macka była szybka jak wąż i tryskała z rany ciemną posoką. Dołączyła do niej kolejna i wojownik, zmuszony odierać wielokrotne ciosy, został przyparty do ściany. Cuchnący śluz, który sączył się z obrażeń potwora, przyskał mu na twarz jak błotnisty deszcz. W ferworze walki nie myślał o tym, nie miał zamiaru oddać pola tej wstrętnej kreaturze.

Był Ha'ami. *Honor i siła*, powtarzał w myślach z każdym cięciem.

Raptem macki odstały i wszystko ucichło. Wyrównał oddech, wytarł rękawem posokę z czoła, gotowy na kolejny atak. Usłyszał cichy chłopot od strony jeziora. Ostrożnie postąpił do przodu. Podniósł pochodnię, która jakimś cudem nie zgasła, pomimo że leżała na zawilgoconej ziemi. Ostrożnie zbliżył się do brzegu. Coś płynęło ku niemu. Rozwarł powieki, aż czuł, że gałki za chwilę wyskoczą mu z oczodołów. W końcu zrozumiał, że kształt, który majaczył na powierzchni, był jasną czupryną elfa. Podbiegł, chwycił go za ramię i pomógł wydostać się na brzeg.

– Jak to zrobiłeś? – wydyszał nieczłowiek.

– Co?

– Potwór nagle mnie puścił.

Spojrzeni na siebie.

– Gdzie krasnolud? – zapytał elf.

– Wskoczyła za tobą w tę przeklętą topiel.

Nieczłowiek nic nie odrzekł, chwycił włócznię Ha'rima, zawrócił w stronę ciemnych odmętów i zanurkował.

– A trzeba było siedzieć na tyłku i żreć to śniadanie, jak cię częstowano... – mruknął dowódca Ha'ami i wznosił miecz gotowy do obrony. – Zachciało ci się kontroli kopalni klejnotów, to trafiłeś do pandemonium.



Jednakże tym razem to nie potwór wyłonił się z głębin, a wąła postać nimfy, której czułki jarzyły się ostrym, zielonym światłem. Pofrunęła pod sklepienie, a z jej gardła wyrwał się krzyk tak przeraźliwy, iż Ha'rim poczuł, jak cała góra trzęsie się w posadach, a jego głowa gotowa jest rozpaść się na kawałki. Upuścił miecz i zakrył uszy, ale niewiele to pomogło. W następnej chwili fala przypływu zbiła go z nóg i uniosła ze sobą. Nie zdążył złapać tchu. Rozpaczliwie machał rękoma, starając się wypłynąć na powierzchnię. W ciemności nie mógł się zorientować, czy podąża we właściwym kierunku. Wkrótce jego płuca zaprotestowały, a członki osłabły. Wiedział, że kres jest bliski. Wtem poczuł mocne szarpnięcie. Coś chwyciło go za kołnierz i pociągnęło. Jego głowa przebiła taflę wody. Zakrztusił się i zaczerpnął oddech.

– To nie koniec! – usłyszał głos elfa. – Gotuj się! – Palce nieczłowieka zacisnęły się na jego ramieniu w żelaznym uścisku.

Ha'rim zrozumiał. Nabrał powietrza. Woda uderzyła z jeszcze większą furią. Tym razem jednak czuł silną dłoń swego towarzysza, który pewnie go prowadził. Nie był sam. Starał się płynąć, by nie być balastem, lecz z trudem poruszał się w wodnej kipieli. Elf wydawał się mieć niesłabnącą krzepę. Mięśnie jego ręki nie rozluźniły się nawet na moment. Po chwili, która wydawała się wiecznością, dotarli do twardej skały, wspięli się na nią i wydostali na powierzchnię. Uczepiony kamienia Ha'rim łapał oddech. Nie mógł uwierzyć, że przeżyli.

– Daj mi swój pas! – Jak przez ścianę dotarł do niego głos.

– Co takiego?

– Twój pas! Szybko! Yanko się wykrwawia!

Wojownik drżącymi dłońmi sięgnął do klamry, odpiął i na oślep wyciągnął w stronę nieczłowieka swój skórzany pas. Usłyszał krótką szamotaninę i cichy jęk krasnoluda.

– Na nogi! – rozkazał elf. Znowu chwycił ramię Ha'rima, pomógł mu wstać i pociągnął za sobą. – Biegiem!

Dowódca Ha'ami ruszył przed siebie, potykając się w ciemności. Jego kończyny były sztywne, jakby był zakuty w żelazną zbroję. Niespodziewanie ujrzał delikatne światło, które rozjarzyło się wokół dłoni nieczłowieka zaciśniętej na jego własnej ręce. Ciepło rozlało się po jego zbolących członkach i poczuł nagły przypływ mocy.

Przyspieszyli.

Ha'rim jęknął przez sen na wspomnienie tej ucieczki w ciemność.